Nr. 29. We Lwowie, Poniedziałek dnia 21. lipca 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Ze stref zwrotnikowych.

Ze wrastającem zainteresowaniem śledzi zawsze ogół odwagę i gotowość położenia życia na ofiarę nowych zdobyczy dla nauki tych dzielnych ludzi, którzy wbrew niebezpieczeństwom na każdym niemal kroku wybierają się w obce i nieznane strony, wśród dzikie i barbarzyńskie ludy. Jakiego rodzaju są te niebezpieczeństwa i przeciwności zewsząd natrafiane, opisywano już niejednokrotnie w malowniczych opisach i pamiętnikach z podróży; grożą one śmiałemu podróżnikowi bądź ze strony mniej lub więcej wrogo usposobionych krajowców, bądź też ze strony samej przyrody i klimatu. Nie podniesiono jednak nigdy dotychczas niebezpieczeństw, jakie grożą im ze strony świata zwierzęcego, które wobec drapieżności i straszliwości tych rozlicznych panów puszcz, leśnych gęstwin i wód stają się często bardzo poważnemi.

Stanley będąc bezsprzecznie jednym z takich najśmielszych i najdoświadczeńszych podróżników, wymienia jako najstraszliwszych z królestwa zwierząt okolic zwrotnikowych: konia rzecznego, krokodyla i bawoła. W jednym ze swoich listów pisze on następująco: „Przy sposobności mego ostatniego przystanku nad Congo straciłem pięciu ludzi przez te zwierzęta; trzech porwały krokodyle, czwartego hipopotam, a piątego rozszarpał bawół. I stosunek ofiar tych zwierząt nie jest wcale przypadkowym, bo krokodyle są istotnie naszymi najzaciętszymi i najniebezpieczniejszymi wrogami, umiejąc zbliżyć się zawsze zupełnie niepostrzeżenie i szybko.

Zdarza się, że widzimy człowieka kąpiącego się w rzece.. dopiero zbliżył się do brzegu i cieszy się przyjemnością, jakiej użyje w orzeźwiającej kąpieli, gdy nagle zagłębia się i niknie raz na zawsze z powierzchni wody. To krokodyl podpłynął z nienacka, a zadawszy mu potężny cios swym ogromnym ogonem, powalił go na dno, schwycił w jednej chwili w swą straszną paszczę i pociągnął na środek wody. Innym razem nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa, płynie jeden z nas po sinawych toniach wabiącej wody... Jak daleko sięgnąć zdołasz wzrokiem nie widać nic, coby mogło obudzić obawę; a przecież tam w głębiach wody, pod cieniem skały lub ukryty w korzeniach nadbrzeżnych drzew, czyha hipopotam, czekając tylko sposobnej chwili, by pochwycić płynącego w swe śmiertelne objęcia. Bezwiednie zbliża się płynący ku niemu — skrycie i bez szelestu podsuwa się też potwór do swej zdobyczy — wtem człowiek nie przeczuwając nic złego zostaje nanagle schwytanym za nogi i pod wodę pociągniętym! Tylko kilka kręgów na wodzie, trochę szumu i piany krwawej pokryte falą i oto wszystko co przerażonemu oku widza staje się widocznem z tego okropnego dramatu."

Jakkolwiek bawoły nie są w Europie znane jako niebezpieczne, to jednak Stanley twierdzi, że one same ludzi atakują i przestrzega przed nimi szczególnie ludzi o białej skórze, gdyż widok ich jest bawołom nieznanym i dla tego pobudza do roli zaczepnej. Strasznym jest widok stada tych zwierząt, jak w pełnym galopie, z głową ku ziemi opuszczoną lecz z najeżonymi rogami i wśród akompaniamentu przejmującego ryku pędzą na człowieka, by go zmiażdżyć w jednej chwili!

Oprócz tych wszystkich niebezpieczeństw, czekają jeszcze podróżnika inne, którym ulegnąć prawie zawsze musi, choćby się ich starannie wystrzegał. Są to owe rozliczne choroby, stanowiące często przeszkodę w wykonaniu przedsięwzięcia, które sprowadza sam klimat. Głównym też warunkiem każdej większej podróży jest pewność, że zdrowie nas nie opuści; a większego jeszcze znaczenia nabiera ta pewność wówczas, gdy podróż ma na celu okolice zwrotnikowe, gdzie panują okropne gorąca i w parze z niemi gorączkowe i epidemiczne słabości.

W innym też liście radzi Stanley każdemu wybierającemu się w dłuższą podróż, czy to dla nauki czy też dla przyjemności, aby czyniąc przygotowania do wyjazdu, nie zapomniał zaopatrzyć się w znaczną ilość chininy i innych środków leczniczych z domowej apteczki. Będzie mógł potem w razie potrzeby mieć nie tylko dla siebie ratunek na zawołanie, lecz także towarzyszy swych i służbę obdzielić tymi nieocenionymi skarbami. Chinina zawiera bowiem własciwoś i ochronne i zapobiegające przeciwko gorączkom, zimnicy, a głównie malaryi, która podróżującym w strefach gorących tak bardzo daje się we znaki. Stwierdzonem zostało, że zarodek malaryi jest mikroorganizmem, wytwarzającym się z gnijących substancyi roślinnych i wchodzącym w krew ludzką. Otóż to zapobiegające działanie chininy nie ulega żadnej wątpliwości, gdyż obecność jej we krwi ogranicza znacznie i wstrzymuje, jeśli nie w zupełności usuwa, rozwój zarodka malaryi a względnie jego rozplenianie się w zawładniętym organizmie.

Takie i tym podobne jeszcze przyjemności oczekują każdego podróżnika w strefach zwrotnikowych, a my wczytując się z zapałem w dokonane już przez nich odkrycia i zdobycze, nie możemy mieć nawet o nich wszystkich wyobrażenia. I czyliż w obec tego nie są godni prawdziwego podziwu naszego ci wszyscy pionierzy wiedzy i nauk, którzy mimo świadomości o tych

niebezpieczeń twach, kroczą śmiało na ich spotkanie, niosąc ochotnie swe życie w dani, byle tylko okruszyną zdobyczy zasłużyć się dla nauki i imię swe na złotej karcie cywilizacyi zapisać.

X.

Zły duch...

Garderobiana Franusia dwa razy już skradała się na palcach do sypialnego pokoju pani.

Było pół do dziesiątej, potem dziesiąta; w sypialni nic się jeszcze nie ruszyło.

Zwinna i fertyczna Franusia, zaczynała się niecierpliwić. Aby czasu nie tracić, pokłóciła się z boną, w progu pomiędzy pokojem jadalnym a salonem poszeptała coś z lokajem, w kuchni otarła się rąbkiem fartuszka o kucharza, potem znów podeszła pod drzwi sypialni i patrząc na końce swoich złoconych pantofelków, które pani w karnawale dobrze podniszczyła, nadsłuchiwała pilnie, skracając sobie nudne chwile czekania dalszym ciągiem przyciszonej ale zaciętej kłótni z boną.

Było już kwadrans na jedynastą...

Z ulicy dolatywał ruch i ów klapiący turkot miejski, dniom słotnym i błotnym właściwy.

Pani tymczasem nie spała już od kilku minut, nawet może dłużej. Otworzyła ciemne, wilgotne od snu oczy, czarnemi brwiami i rzęsą czarną ocienione, wodziła niemi z dziwnym wyrazem, jakby zapytania jakiegoś, na które odpowiedzi nie otrzymawszy, znów je po chwili przymknęła...

W pokoju panował mrok, półton raczej, spowodowany starannem zapuszczeniem rolet. Mrok jednakże pozwalał dojrzeć, że mieszkał tu dostatek, nawet zbytek. Łóżko francuskie, niskie a szerokie z bardzo ładnemi rzeźbami z drzewa, zastanawiało jako prawdziwe dzieło sztuki. Nad łóżkiem wisiał Chrystus w dobrej kopji z Delarocha w pięknych ciemnych ramach, przy łóżku stał klęcznik, podobnie jak ono rzeźbiony...

Ale — nie wiem dla czego — ten Chrystus robił wrażenie, jakby się doń nie modlono, a klęcznik był tylko meblem gustownym, plusz zaś puszysty, którym był wybity, zachował taką świeżość, że widocznie nikt na nim klęczeć nie miał zwyczaju.

Po chwili pani znów szeroko otworzyła oczy...

Dłoń białą podniosła do czoła, jakby sobie coś przypomni ć chciała. Wtedy wzrok jej padł na kominek, na przeciw łóżka stojący, nad którym wyrzeźbiony z marmuru satyr pochylił się naprzód z uśmiechem złośliwym, prawą rękę na marmurowym koźle złożywszy, a lewą podniosłszy de brody marmurowej, którą bawić się zdawał. Ten satyr, jego uśmiech szyderczy, a może też jego broda, od razu widocznie przypomniała półsennej kobiecie coś, nad czem napróżno przez minut kilka pracowała jej pamięć, snem przytępiona. Przypomnienie musiało być silne, po jednym, nagłym ruchem zerwała się, usiadła na łóżku, zapatrzona w marmurowego satyra i wyszeptała cicho:

— „Dziś.“

Czujna Franusia; stojąca zawsze pod drzwiami, usłyszawszy szelest, znalazła się w tej chwili przy łóżku swojej pani i w rękę ją całując, życzyła: dzień dobry.

— Czy jaśnie pani zaraz wstanie? — rzekła.

— Niedługo. Przyjdź za chwilę — odrzekła pani.

Franusia przysunęła do łóżka pantofelki, a rozejrzawszy się wzrokiem badawczym po pokoju, czy nie braknie czego, podniosła rolety i znikła równie szybko, jak weszła.

Do sypialni zawitał dzień bezsłoneczny, smutny, jesienny, z połyskiem szarym, w którym zamiast zwykłej srebrzystości dnia, przeważał koloryt ołowiu. Natychmiast po wyściu służącej zerwała się pani z łóżka i tylko nóżki bose w pantofelki włożywszy, pobiegła ku tualecie. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że bose nóżki były białe, drobne i kształtne...

Na tualecie, oprócz sprzętów przeróżnych a cennych, leżał zamknięty wachlarz, prosty, drewniany. Kobieta wzięła go do ręki i rozwinęła. Przez środek wachlarza była namalowana duża, biała lilja z liściem zielonym. Na ostatniej przedziałce widniał napis ołówkiem. Jakby się upewnić chciała, spojrzała nań młoda kobieta i przeczytała słowo:

„*Demain.*“

Pod nim były jeszcze trzy wyrazy, nakreślone drobniejszym charakterem:

„*J'aime, j'aime, j'aime*“.

Z wachlarzem w ręku, zwróciła się napowrót i zamyślona usiadła na łóżku. Powoli zaczęła się ubierać. Ale z czoła białego nie schodziła fałda myśli, która nie musiała być lekką.

— A więc dziś — mówiła do siebie. — Dziś ten romans, obracający się dotąd w krainie listów, kwiatów, spojrzeń, słów gorących, przysiąg i błagań, miał przejść w fazę inną, stanowczą...

Przyrzekła mu to sama, wczoraj jeszcze, kiedy pochylony przed nią, dłoń jej do ust ciśnąc, prosił tak wymownie, takim półszeptem cichym i namiętnym. A przy tym szepcie i w tej przysiędze, miał jakiś uśmiech złośliwy, jakiś wyraz cynizmu na twarzy, piękną i jasną brodą okolonej, z którą igrać miał zwyczaj. Dla tego to ów marmurowy, brodaty satyr z nad kominka przypomniał jej przed chwilą, że to dziś...

Franusia znów weszła.

— Czy jaśnie pani nic nie potrzebuje?

— Daj pończochy jedwabne, czarne.

I znów pogrążyła się w myślach.

...Czy ona go kocha? Wyraz ten brzmiał w tej chwili tak jakoś dziwnie, prawie banalnie, że mimowoli uśmiechnęła się do siebie samej... Kocha? Gdzie jest ta granica pomiędzy miłością a kaprysem — a dalej pomiędzy kaprysem a prostą ciekawością tylko, lub pragnieniem czegoś nieznanego, które ma w sobie czar tajemniczy... Kto to zgadnie? Kto to określi? Ona sama nie wie...

Służąca zaczęła powoli rozczesywać jej piękne, bujne włosy, spływające jak fala ciemna na śnieżnej białości plecy. Zapytała:

— Czy tak jak wczoraj?

— Jak wczoraj — odrzekła machinalnie i dodała w myśli: to wczoraj nie będzie już podobnem do dziś ani do jutra... Przepaść stanie pomiędzy dniem ubiegłym a przyszłym. Ona sama inną już może będzie jutro. Jaką będzie?...

Wszakże zresztą czas jeszcze? Nic się nie stało dotąd. Kilka uścisków dłoni, mnóstwo spojrzeń długich, marzących, pełnych obietnic, potoki słów gorących, wyznań namiętnych...

I to wszystko... Nic więcej. Więc tylko od niej samej zależy, aby zostać jutro taką, jaką jest teraz, jaką była wczoraj.

Tak? A ta obietnica, przysięga prawie, którą wymógł na niej wczoraj. A kiedy już wymógł, uśmiechnął się — jak on to umie się uśmiechać i gładząc brodę, rzekł ponurym głosem:

„A kto przysięgę naruszy?“...

Ona zaś dodała także z uśmiechem, dłoń mu podając:

— „Ach biada jemu! za życia biada — I biada jego złej duszy“...

Więc przysięgła, że dotrzyma. Co za ironja w dotrzymaniu tej przysięgi, którą spełniając, łamie się inną, najświętszą... Łamać przysięgę?...

Pomyślawszy o tem, piękna pani znów się uśmiechnęła do siebie mimowoli.

Co jej ta przysięga znaczy, złożona kiedyś, przed dziesięciu laty i komu? Czy dla tego zachowała się dotąd nieskalaną? O wcale nie!... To byłby motyw najsłabszy, najbardziej kruchy, najmniej gwarancji dający...

Na sto kobiet i jedną, które umiały pokusom się obronić i przejść przez życie bez szwanku, bez upadku, jedna zaledwie tej właśnie przysiędze nieskazitelność zawdzięcza i pozostaje czystą przez wzgląd na tego, któremu ją składała.

Czterdzieści z nich nie czyni tego po prostu przez uczucie strachu, trzydzieści dla tego, że nie miały okazji, dwadzieścia przez absolutny brak potrzeby wszelkiego uczucia, sześć zawdzięcza to szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, a cztery wstrzymuje od tego po części silne uczucie wiary, po części wzgląd na dzieci. Setna pierwsza dopiero nie czyni tego z wyżej wymienionego powodu.

Nasza piękna pani, której czarne włosy Franusia zawiązała już w prosty ale zręczny węzeł na tyle głowy, nie była tą setną pierwszą.

Jeśli należała do której z owych kategorji, to po trochu do każdej z trzech pierwszych.

Ona jednak nie zdawała sobie z tego sprawy. Jeśli się zaliczała do kategorji jakiejkolwiek, to —jak zazwyczaj w razach podobnych, —widziała się niezrozumianą, zapoznaną, samotną, nieszczęśliwą... Zwykłe to usprawiedliwienie przed sobą dla tych, które czują, że stoją przed progiem upadku. Przyczyn tego nie widzi się nigdy w sobie samej, we własnym sumieniu; na zewnątrz chętnie ich się szuka... Szukając znaleść bardzo łatwo.

Właścicielka ramion śnieżnych i włosów hebanowych, nie robiła z siebie pod tym względem wyjątku. To też argumentacja jej wewnętrzna, że, cokolwiek się stanie, nie ona temu będzie winna, ale tysiące innych okoliczności, byłaby niebawem całkiem gotową, gdyby nie nowa kwestja służącej, jaką suknię wziąść należy.

Pani się zamyśliła.

— Szarą – rzekła po chwili.

— Jaśnie pani ślicznie w szarej — uważała za stosowne wtrącić Franusia.

Ona sama wiedziała doskonale, że jej dobrze w tej sukience skromnej, prostej ale ładnej.

Franusia zauważała, że dziś szczegółom tualetowym poświęca jej pani niezwykłą uwagę. Ubieranie trwało z kwandrans dłużej aniżeli zwykle. Kiedy wszystko było w porządku, kiedy przeciągłe spojrzenie w lustro powiedziało, że nic nie brakuje, młoda kobieta, ująwszy w rękę ów wachlarz drewniany, przeszła z nim do sąsiedniego buduaru, gzie rzuciwszy się niedbale na kozetkę, oddała się napowrót dumaniu.

...Rozwinięty wachlarz mówił jej: kocham!... wewnątrz coś szeptało strzeż się!

Skąd ten głos wewnętrzny pochodził? Czy to było sumienie, czy resztki poczucia obowiązku, czy obawa skutków? Chyba to ostatnie, bo głos sumienia był zawsze słabym, a obowiązków nikt jej nie uczył. Przeciwnie: wszystko, coby poczucie obowiązku mogło w nią wpoić, było u niej pogrążonem w głębokim śnie... Całe życie składało się na to, żeby z tej kobiety zrobić lalkę na zewnątrz i lalkę bezduszną na wewnątrz... Matki nie zaznała. Przewodnikami jej moralności, cnoty, zasad religji były płatne guwernantki. Ojciec nie miał czasu jej wychowywać. Przychodził do niej niekiedy, pytał się o zdrowie, a pomiędzy jednym interesem a drugim, któremi tylko żyć umiał, pocałował ją w czoło czasami.

Kiedy wiek był po temu, wydano ją za mąż... Dla czego poszła za tego człowieka, który dla niej był tylko sposobem wydostania się na wolność? Sama nie wiedziała. Idąc za niego, znała go zaledwie. Uważała jednak, że pójść za mąż trzeba. Zresztą nie pytano jej się wcale o zdanie. Wiedziała tylko, ze odtąd będzie mogła ubierać się jak zechce, wychodzić kiedy zechce, będzie się bawić, tańczyć...

Nie zawiodły oczekiwania. Pozwalano jej na wszystko. Mąż lubił kiedy się podobała, jeśli była wystrojona pięknie. Bawiła go przez cały rok, choć on jej wcale nie bawił. Potem, choć i ona go bawić przestała, dogadzał jednak jej fantazjom. Był to drugi tom jej ojca, tylko w poprawnej edycji... Po kilku latach doszły ją wieści, że ten łysawy, grubawy mąż ma podobno kochanki. Być może. Cóż ją to mogło obchodzić...

To wszystko stanęło jej teraz żywo przed oczyma. I choć bezduszna, a nawet bezmyślna trochę, miała przecież te refleksje, że gdyby się znalazł ktoś, ktoby w jej duszy był wyhodował maleńką choćby latorośl moralności, to ona oprzećby się umiała złemu, zwalczyć i pokonać samą siebie. Ale nikt się nie znalazł!

Znaleźli się tylko wielbiciele, których było aż do znudzenia wielu. Dla czego nie poszła za pierwszym z nich, tak samo jak oddała rękę pierwszemu człowiekowi, którego spotkała?... Ona nie wie dla czego. Może to przez kobiecy instynkt zachowawczy, będący ostatnią obroną dla tych, które nie posiadają innych środków obrony. Może też żaden z tych, którzy jej szeptali słówka najsłodsze, prawili o miłości, uczuciach, nie podobał się o tyle, żeby dlań pragnęła poświęcić to, co się ceni bezwiednie, nawet u istot, nie znają-

cych rzeczywistej wartości t-go skarbu, który się nazywa: nieskalaniem.

To wszystko przeszło jej przez myśl, w nieporządku, w nieładzie, ale przesunęło się jednak przez głowę pustą.

Zegar wybił dwunastą. Zadrżała mimowoli. Tylko dwie godziny dzielą ją od chwili stanowczej.

A on? pomyślała. Po co stanął na jej drodze? Wszak był takim jak drudzy? Nie. Był innym. Nie przysięgał, nie mówił wiele o swej miłości, drwił raczej, urągał jej, śmiał się z tej cnoty, zapytywał, dla kogo ją chowa, po co, na co? A przytem słyszała o nim, że takie miał powodzenie, że tyle kobiet unieszczęśliwił. Dla płytkich umysłów zawsze powodzenie przemawia najsilniej. Ten wzgląd najwięcej trafił do jej przekonania...

A może on drwił na prawdę.

W przedpokoju dał się słyszeć dzwonek.

Po chwili wszedł lokaj.

— Dla jaśnie pani.

— Co?

— Bukiet.

Chciwie wyciągnęła rękę. Na tle niezapominajek białe i czerwone róże. Śliczny bukiet. Nie pyta od kogo. Wie dobrze. Ale co to w środku? Karteczka. Wyjęła, rozwinęła i przeczytała:

Aujourdhui.

A pod spodem małemi literami:

J'aime, j'aime, j'aime.

A więc nie drwił z niej, on który pomiatał uczuciami tylu kobiet, o czem mówiono tak dużo w salonach..

. . . .

Druga dochodziła.

Przed tym samym zegarem, w tym samym buduarze stanęła piękna pani i pytała się wzrokiem skazówek: iść czy nie iść? Z nad zegara pozłacany kupidynek mierzył do niej wprost z łuku złotego i uśmiechał się, jakby chciał mówić: śmiało naprzód! Gniewało ją to bezczelne spojrzenie głupiego kupidynka. Odwróciła się w inną stronę. Na konsoli bronzowej stał duży chińczyk bronzowy z czarą zamkniętą w ręku, przeznaczoną do palenia wonnych kadzideł. Chińczyk był poważny, miał długie, spadające wąsy, i patrzał na nią bardzo smutno, jakby jej żałował.

Co oni chcą od niej — ten amorek i ten chińczyk? Nieznośni są... Zadzwoniła. Fertyczna Franusia ukazała się niebawem z zapytaniem w małych szarych oczkach.

— Wyjdę — rzekła pani.

Za chwilę była gotową. Franusię dziwiło, że przeciw zwyczajowi czwarty dopiero kapelusz przypadł jej do gustu. Zazwyczaj namyślała się tylko nad dwoma.

Od chwili, kiedy wyszła, zdawało jej się, że jest w jakiemś pół śnie.. Przypuszczała, że nie dojdzie tam gdzie zamierzała, że coś stanie jej na przeszkodzie. W bramie zaraz przystanęła. Dorożkarz myślał, że go woła. Podjechał i zamknął jej przejście. Obeszła przez błoto i znalazła się na drugiej stronie ulicy. Szła dalej. Po drodze był jej jubiler. Jakby chcąc odwlec chwilę stanowczą, może w nadziei, że coś zajdzie, wstąpiła, przypomniawszy sobie, że oddała bransoletkę do naprawy. Bransoletka nie była gotową. Wyszła znów. Ostatnia tajemna nadzieja przeszkody znikła. Dla czego zresztą nie miałaby dojść? W jej pozycji, w takiem jak ona otoczeniu, chwila taka musiałaby nastąpić prędzej czy później. Po co zwlekać?...

Gdyby spotkać kogoś znajomego, znajomą... wszystko jedno. Nie spotkała nikogo. Kilka kroków zaledwie dzieli ją od tego domu nieszczęsnego.. Znów opadła ją senność jakaś i szła przed siebie, nikogo i nic nie widząc.

Na skręcie w ostatnią ulicę przebiegł przed nią mały powozik, w czarnego konia zaprzężony z nadmiernie grubym stangretem. O mało jej nie przejechał. Skończyło się na wielkiej plamie błota na okryciu.

Miałoby to być ostrzeżenie?

Nie zrozumiała go.

Za chwilę weszła w bramę ciemno-żółtego domu. Nikogo w bramie nie było. Weszła na schody. Przypomniała sobie, jak jej mówił szeptem: drugie piętro... drzwi na lewo... zaraz ze schodów...

Szła spiesznie do pierwszego piętra. Potem zwolniła kroku. Zabrakło jej tchu, czy odwagi; już miała się zawrócić i uciec. Pomyślała, jakby on się z niej naśmiewał w tej chwili.

— To reszta przesądów mieszczańskich, zabobonów, jakiejś cnoty i jakichś zasad — mówiłby z tym uśmiechem sarkastycznym, który ją doń pociągał.

Teraz szła na drugie piętro...

To tu... Drzwi na lewo.

Stanęła i pochyliła głowę. Czy to istotnie przesąd tylko? pomyślała. A jednak ta drewniana przegroda, choć tak cienka, miała być dla niej epoką w życiu. Przesąd, czy nie, ale coś jej mówiło, że, bądź co bądź, kiedy wyjdzie ztamtąd, będzie inną, że już nic nie naprawi tego kroku. Nie, nie, nie. To otchłań, w którą wpadłszy, nie wychodzi się z niej nigdy. Jeden krok, a przylegnie do niej takie błoto, że nic go zmyć nie zdoła. Zabobon? Być może, ale ten zabobon jest skarbem, którego za żadną cenę odkupić nie można.

Więc cofnęła rękę od dzwonka i czuła się nagle przejętą takim strachem, że już, już uciekać chciała.

W tem usłyszała stąpanie na dole. Ktoś szedł po schodach ciężko, wolno... Nadsłuchiwała z niepokojem. Był już na pierwszem piętrze. Wyciągnęła rękę do dzwonka i znów ją cofnęła. Może ten ktoś nie wejdzie dalej. Nie. Przystanął i szedł. Czy to jej zły duch, który ją w przepaść chciał wtrącić?

Ha! może być!!

Szybko ujęła dzwonek i zadzwoniła silnie..

J. Z. K.